

OKP stopień srebrny - w drodze do domu (3)

Odznaka Krajoznawcza Polski stopień srebrny – w drodze do domu

Jak już wspomniałem w poprzednim tekście pora była wracać do domu. Jednak postanowiliśmy z żoną wybrać się na spotkanie czytelników i przyjaciół miesięcznika "Na Szlaku", które zaplanowano w Gołdapi. Nie było to co prawda po drodze do Zgorzelca, ale uznaliśmy, że warto nadłożyć nieco drogi. Wyruszyliśmy zatem z samego ranka w drogę. Jednak przejechanie tylu kilometrów bez przystanków było by trochę nieestosowne. Ułożyłem więc szybciotko krótki wykaz obiektów z Kanonu położonych wzdłuż planowanej trasy. Zaraz też dojechaliśmy do Chojnic, gdzie odszukaliśmy Muzeum Regionalne mieszczące się w Bramie Człuchowskiej. Na początku był mały zgrzyt. Okazało się, że nie ma możliwości podjechania pod sam obiekt, ponieważ uliczka dojazdowa była przeznaczona tylko dla taksówek i nie można było tam zostawić samochodu. Uczyniliśmy to po drugiej stronie ulicy, na parkingu marketu. Trzeba jednak uważać bo znajduje się tam znak



informacyjny, iż po godzinie parkowania pojazd może zostać odholowany. Weszliśmy po stromych schodach na I piętro, gdzie w kasie nabyliśmy bilety po 5 zł i załatwiliśmy pieczątki. Teraz zaczęły się schody. W przenośni i dosłownie. Dosłownie ponieważ zbiory wyeksponowano na kilku kondygnacjach, a w przenośni bo na pytanie: a ile właściwie jest tu kondygnacji?, obsługa odpowiedziała szczerze: nie wiemy. Gdy kończyliśmy zwiedzanie pani, która towarzyszyła nam zapalając i gasząc światło w poszczególnych salach, widząc nasze zainteresowanie powiedziała, że możemy na ten sam bilet pójść do innego budynku muzealnego i obejrzeć ciekawą wystawę jaka właśnie jest tam prezentowana. Ale na pytanie o czym jest ta wystawa, czy warto szukać tego budynku, po krótkim namyśle odpowiedziała, że właściwie nie wie co jest tematem proponowanej wystawy. Początkowo nas zamurowało. Po wyjściu jednak na ulicę nie mogliśmy się powstrzymać od głośnego śmiechu. Nie mniej daliśmy sobie spokój z szukaniem tej

wystawy i pojechaliśmy do Malborka. Tam zaparkowaliśmy za 5 zł i nabyliśmy bilet, który kosztował aż 35 zł od osoby. Ponieważ spóźniliśmy się z dotarciem do miejsca, w którym czekał przewodnik, pan z obsługi przedzwonił do biura i powiedziano, że zaraz przyślą kogoś kto nas oprowadzi. Problem powstał dlatego, że było już późno. Ale okazało się to dla nas zbawienne. Przybyły przewodnik okazał się być pracownikiem naukowym prowadzącym prace konserwatorskie na zamku i ponieważ czekało z nami jeszcze tylko jedno małżeństwo zaproponował nam, że oprowadzi nas trochę inną trasą, tak by pokazać najnowsze odkrycia i zakończone niedawno prace. Z radością przystaliśmy na to bo przecież w Malborku byliśmy już kilka razy. I faktycznie zobaczyliśmy zamek w zupełnie nowym świetle. Przewodnik przeprowadził nas przez takie zakamarki, że długo będziemy pamiętać tą naszą wycieczkę. Dlatego na zakończenie przekazaliśmy dla niego słowa uznania i podziękowaliśmy za tak miłe i zaskakujące potraktowanie naszego tu pobytu. Ponieważ pora była późna postanowiliśmy wypatrywać jakiegoś noclegu, ale zanim stanęliśmy przy zajeździe, odwiedziliśmy jeszcze kościół świętych Janów: Chrzciela i Ewangelisty w miejscowości Orneta. Świątynia była zamknięta. Poszliśmy jednak po pieczątkę do pełniącej dyżur siostry zakonnej. Ta otworzyła nam obiekt a także opowiedziała jego dzieje. Później wywiązała się między nami prawie godzinna rozmowa o "życiu".



Widać było, że siostra lubi pogadać sobie z ludźmi. W kościele tym warto zwrócić uwagę na niespotykane gdzie indziej przejście do wnętrza. Niezwykłe i bardzo ładne. Ale warto też spojrzeć w górę na dach, gdzie po obu stronach umieszczono 10 rzygaczy, wykonanych jako głowy smoka z wystawionym jęzorem.

Po spokojnej nocy w przydrożnym zajeździe dotarliśmy rano do Lidzbarka Warmińskiego, by zwiedzić zamek. W trakcie parkowania samochodu na placu przed zamkiem podszedł do nas starszy pan i zaproponował, że może służyć za przewodnika. Chętnie skorzystaliśmy z tej oferty, zwłaszcza że okazał się on długoletnim pracownikiem muzeum zamkowego. Ponieważ nudzi mu się na emeryturze dorabia sobie pomagając innym. Jak się okazało wart był tych paru złotych. Oczywiście musieliśmy tak jak wszyscy nabyć normalne bilety wstępu. Dostaliśmy jednak taką dawkę informacji, że długo będziemy je pamiętali. Jest tutaj pewna zaskakująca ciekawostka. Otóż w ścianie wykuto

wąziutkie przejście, dzięki któremu możemy wejść do zamkowego komina. Tak! Prawdziwego, czarnego od sadzy komina. Oczywiście dzisiaj nie jest on już używany, ale przebywanie w tym miejscu na długo zapadnie w pamięci. Niby nic, a jakie fajne.



Diabelski Kamień w Bisztynku. Foto: Krzysztof Tęcza

Następna miejscowość, do której dotarliśmy to Bisztynek. Znajduje się tutaj "Diabelski Kamień" będący pomnikiem przyrody. Z dotarciem do niego nie miałem problemów gdyż zatrzymałem się przed budynkiem Urzędu Miasta, gdzie otrzymałem pieczętkę i instruktarz jak dalej jechać. Samo otoczenie ogrodzonego głązu nie jest zbyt zachęcające. Chodzi głównie o zapaszek jaki się tu unosi. Umieszczono tu tablicę z dokładnymi informacjami oraz ciekawą legendą, z której dowiadujemy się dlaczego nazywają go "Diabelskim Kamieniem" i skąd się tutaj on wziął. Ze względu jednak na wspomniany zapaszek, po zapoznaniu się z tym opisem, szybko oddaliliśmy się i dotarliśmy do miejscowości Reszel, gdzie zaparkowaliśmy nie na płatnym parkingu tylko kilkaset metrów dalej w uliczce prowadzącej do rynku. W sumie podyktowane to było względami żywiołymi ale w końcowym efekcie wyszło nam na dobre. Żonie złamał się paznokieć, a jak wiadomo dla każdej kobiety nie ma większego nieszczęścia. Wjechaliśmy zatem do miasta w poszukiwaniu kosmetyczki i właśnie pod jej zakładem zaparkowaliśmy. Po kontakcie telefonicznym umówiliśmy się, że przyjedzie ona za godzinkę. Poszliśmy zatem do zamku i po wykupieniu biletów po 3 zł zaczęliśmy jego zwiedzanie. Okazało się niestety, że nie ma przewodnika i trzeba wszystko zobaczyć samemu. Przeżyliśmy tu jednak, może nie szok, ale spory zawód. Po pierwsze zeszliśmy do podziemi gdzie była restauracja. Pomyśleliśmy, że pora na obiad. Niestety po 20-minutowym oczekiwaniu na obsługę (nikogo oprócz nas nie było) daliśmy sobie spokój. Zajrzeliśmy zatem do pomieszczeń obok, ale tam za kratami widać było tylko stoły bilardowe, a w małej piwniczce jakiś drewniany stół, kilka krzesel i dyby. Okazało się, iż jest to miejsce w którym według informującej nas pani straszy. Owszem straszy ale chyba tandetą. Obejrzelśmy zatem mury, dziedzińiec, a gdy próbowałem gdzieś wejść to na każdych drzwiach wisały kartki z napisem "Tylko dla gości hotelowych". Zapytałem więc co mogę tu właściwie zobaczyć poza dziedzińcem. Zostałem skierowany do drzwi wiodących na wieżę zamkową. Ponoć to właśnie z niej rozpościera się przepiękny widok. Żona coś musiała czuć bo postanowiła poczekać na mnie. Ja natomiast wdrapałem się licząc schody. Było ich 114. Gdy dotarłem na górę myślałem, że mnie szlak trafi. Przepięknymi widokami okazały się skrawki nieba widoczne przez szyby w małych oknach umieszczonych wysoko, w bardzo grubych murach. Poza kawałeczkami nieba oczywiście nic nie było widać. Naszła mnie wtedy po raz pierwszy myśl: po co właściwie taki obiekt umieszczono w Kanonie. Ale nic to, poszliśmy załatwić sprawy ważniejsze. Paznokieć. Aby nie czekać bezczynnie, udałem się do widocznego ratusza, gdzie znalazłem punkt IT. Tam trafiłem na bardzo miłą panią. Ponarzekąłem trochę na to co mnie spotkało, a ta wyciągnęła mnóstwo folderów, skserowała mi miejscową legendę i wytłumaczyła jak mam trafić do pięknego ceglanoego mostu. Zaraz też udałem się we wskazanym kierunku i nie mogłem uwierzyć w to co zobaczyłem. Przecierałem oczy ze zdumienia. Most był potężny i piękny. Mało tego, schodami obok, zszedłem do ścieżki wiodącej wzdłuż rzeki, a nią dotarłem do przedwojennego amfiteatru. Są tam fajne głązy, a cały teren posiada swój własny mikroklimat. I teraz naprawdę zadałem, niestety tylko sobie, pytanie: czy zamiast tego zamku nie można do Kanonu było wpisać tego co właśnie oglądam? Przecież to jest cudo w porównaniu z obiektem wyznaczonym nam do zwiedzania. Aby ochłonąć udaliśmy się do gospody naprzeciwko ratusza, gdzie muszę to przyznać, podano nam niezłe jedzenie. Aby nie denerwować się już niepotrzebnie daliśmy sobie spokój z dalszym zwiedzaniem i dotarliśmy do Gołdapi. Spotkaliśmy tam czytelników i miłośników miesięcznika "Na Szlaku", z redaktorem naczelnym, Krzyśkiem Mazurskim na czele. Dla ścisłości dodam, że właśnie kończył się czerwiec 2009 roku. O tym co zobaczyliśmy w Gołdapi napiszę w następnej części mojej relacji.

Krzysztof Tęcza